Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. **No. 31.** **Leszno, dnia 2. Lutego 1838.**



Chłop i djabeł.

Chłop i djabeł.

Powiastka gminna z nad Warty.

Dziwiąc się djabeł zmyślnéj chłopa głowie,
Zaczął i dumać i marzyć.
Ot! wiesz co, chamie, tak do niego powie:
Pójdźmy razem piwo warzyć.

Pójdźmy! rzekł Szymczak — i już kocieł grzeje,
Na tęgie piwo się sadzi;
Warzy i warzy, miesza — spuszcza — leje,
I ot cały war już w kadzi.

Dzielmyż się teraz, djabeł się odzywa;
Szymczak działu nie odmawia:
Dzielmy się, rzecze, i wierzch bierze piwa,
A djabłu drożdże zostawia.

Źle coś! czart woła, zmieńmy więc umowę;
Posiéj mi ziarno na grzędzie:
Ty sobie spodnią zabierzesz połowę,
A co z wierzchu, mojém będzie.

Sieje więc chłopek na wspólne korzyście,
Wchodzi, rośnie plon wzbujały.
Przyszło do działów — djabeł dostał liście,
A rzepy chłopu zostały.

Czarcią, rzekł djabeł, masz chłopie naturę;
Widzę, że jesteś mądrzejszy;
Lecz jeszcze jedno — rzucajmy się w górę,
A ujrzem, kto z nas mocniejszy.

I porwał, schwycił, i z takim zamachem,
Śmignął go łapy silnemi,
Że chłop z pięć sążni uleciał nad dachem,
Nim go czart schwycił przy ziemi.

Tęgiś! chłop rzeknie, zbladły i zdyszony.
Myślałem, że już nie wrócę;
Lecz teraz kumie, pójdźno w moje szpony,
Niech i ja ciebie podrzucę.

I w pas go bierze i za róg pochwyca,
I tak w dwojgu rąk go trzyma;
Lecz zamiast rzucić — nagle w twarz xiężyca
Wrytemi patrzy oczyma.

I patrzy, patrzy, a nasz czart się dziwi,
Choć djabeł — pojąć nie zdoła;
Aż wreście gdy się znudzi, zniecierpliwi
Czego tam ślepisz? zawoła.

Ślepię, rzekł Szymczak, bo wprzód rzeczy ważę,
Niechcę cię rzucać daremnie;
Czekam, aż się tam mój tatuś pokaże,
Co cię odbierze odemnie.

Co! ryknie djabeł, czyś głupi? szalony?
Wydarł się z ręku Szymczaka,
I jakby wodą święconą sparzony,
Aż w piekło urznął drapaka. *) F. M.

Odezwa.

Pan Zawadzki, jeden z najzasłużeńszych w piśmiennictwie naszém księgarzy, zamierza wydać pomnożoną i poprawioną historyą literatury polskiéj Bentkowskiego, nabywszy poprzednio w tym celu prace sławnego bibliografa naszego Sobolewskiego, i używszy do redakcyi ludzi z przedmiotem tym dokładnie obeznanych. Pragnąc zaś nadać dziełu temu piętno zupełnego, ile tylko być może, wykończenia, wydał do współziomków odezwę, w któréj ich, o zasiłki bibliograficzne prosi. Exemplarz takowéj odezwy przysłał także na moje ręce, prosząc, abym ją do wiadomości mieszkańców téj prowincyi podał, i abym się zbieraniem materyałów w téj stronie zajął. Czyniąc zadosyć słusznym życzeniom zacnego wydawcy, posełam odezwę jego redakcyi Przyjaciela Ludu, spodziewając się, że ją chętnie w szacownem piśmie swojém umieści, w przekonaniu, iż współziomkowie moi z wdzięcznością przyjmując usiłowania p. Zawadzkiego, zechcą zbierać wiadomości o rzadszych dziełach polskich, i nadsełać one pod adresem biblioteki Raczyńskich w Poznaniu.

Edw. R.

Oto wezwanie pana Zawadzkiego:

Lat z górą dwadzieścia już upłynęło, jak wyszło na jaw dzieło dla bibliografii krajowéj ważne, pod tytułem: Historya Literatury Polskiéj, wystawiona w spisie dzieł drukiem ogłoszonych przez Felixa Bentkowskiego, w Warszawie 1814. Jakkolwiek ono dla układu i porządku swego mało dogodne, jakkolwiek liczne zawiera w sobie uchybienia, błędy i opuszczenia, dotąd wszakże jest dziełem nowszém, jedynem u nas tego rodzaju, i obowiązującém. A lubo książka ta z handlu zupełnie już wyszła i dzień w dzień staje się do nabycia trudniéjszą, proste jednakże powtórzenie jéj drukiem, w dzisiejszym stanie wymagań i pojęć o pracach tego rodzaju, dalekieby było od zaspokojenia oczekiwań i upragnień, jakie ztąd i owąd dochodzą, które silnie obudzony w kraju i za granicą interes ku zamożnéj, różnostronnéj i dawnéj literaturze polskiéj aż nadto usprawiedliwia; dalekie nawet od celu, jaki sobie pierwiastkowo sam autor, wydając je, był założył: zajęcia w niém jak największéj, jeśli nie całkowitéj liczby dzieł, literaturę tę składających. Tyle albowiem dotąd przybyło ksiąg nowych, tyle poczyniono odkryć o księgach w upłynionych wiekach w Polsce lub za granicą, przez pisarzów polskich wydanych, iż śmiało rzec można, że dzieło Bentkowskiego zaledwoby mniéjszą połowę całkowitości wynosiło. Że zaś o innych źródłach tu zamilczamy, o jednem tylko napomknąć niech się godzi, to jest o materyałach do bibliografii polskiéj, zebranych przez uczonego ś. p. Ludwika Sobolewskiego, bibliotekarza b. uniwersytetu wileńskiego, który lat ciągłych kilka usilnéj pracy poświęcił na wypisanie z trzech najznakomitszych bibliotek krajowych, XX. Czartoryskich w Puławach, hrabiego Ossolińskiego w Wiedniu i hrabiego Chreptowicza w Szczorsach, co w Bent-

*) *Powieść ta po kilku błąka się krajach, a w każdym odmiennie opowiadana; ja wolałem ją skreślić podług téj versyi, jaką wyrobiła ludu naszego wyobraźnia. Godnem jest zastanowienia, że gdy gdzieindziéj czart nakonice tryumf odnosi, chłop w naszém opowiadaniu ciągle jest zwycięzcą i djabłu nawet przemodz się nie daje.* Uwaga autora.

kowskim albo niedostatecznie, albo błędnie, albo zgoła wymienione nie było, z tą ścisłością, widzeniem trafném i jasném; z tą znajomością rzeczy, która wszystkie prace naukowe tego niepospolitego, zbyt wcześnie naukom wydartego człowieka oznaczyła.

Niżéj podpisany przeto, zostawszy właścicielem zbioru rękopismów do bibliografii polskiéj po rzeczonym ś. p. Sobolewskim pozostałych, dołoży starania, taką z nich korzyść dla nauki wyjednać, aby to, co w sobie zawierają, złączywszy i przelawszy w jedno wraz z dziełem wyżéj wspomnianém F. Bentkowskiego, pomnożywszy dodatkami innych bibliografów polskich, oraz tém wszystkiém, co od roku 1814, na niwie nauk krajowych przybyło, w jednym ścisłym obrazie wystawić, w mającém się wydawać dziele, pod tytułem: Bibliografija polska, z tém baczeniem, aby je i uczonym pod względem ścisłości, mianowicie w układzie, w tego rodzaju pracy istotnéj, i ciekawym, uniknieniem zbytniego wyczerpania i wielości mordujących podziałów, jak najlepiéj zalecić. To powoduje razem wydawcę, przy ogłoszeniu niniéjszego przedsięwzięcia, odezwać się do uczonych, mianowicie w kraju mieszkających, do współudziałań, i przesyłania pod adresem niżéj wskazanym podpisanego, tego wszystkiego, coby ku uzupełnieniu téj niemałéj i ważnéj pracy za dobre uznali. Uwiadomienia te, jak z wdzięcznością przyjmowane będą, tak imiona tych, co się zechcą czynnie ku temu przykładać, w swojém miejscu wspomniane zostaną. Wreszcie zbliżenie dzieła, już w robocie będącego, do druku, poprzedzi niebawnie Prospekt, przy którym i warunki prenumeraty na nie ogłoszone będą. Wilno dnia 15. Październ. 1837.

Józef Zawadzki.

Prenumeratę przyjmować będą następujące księgarnie:

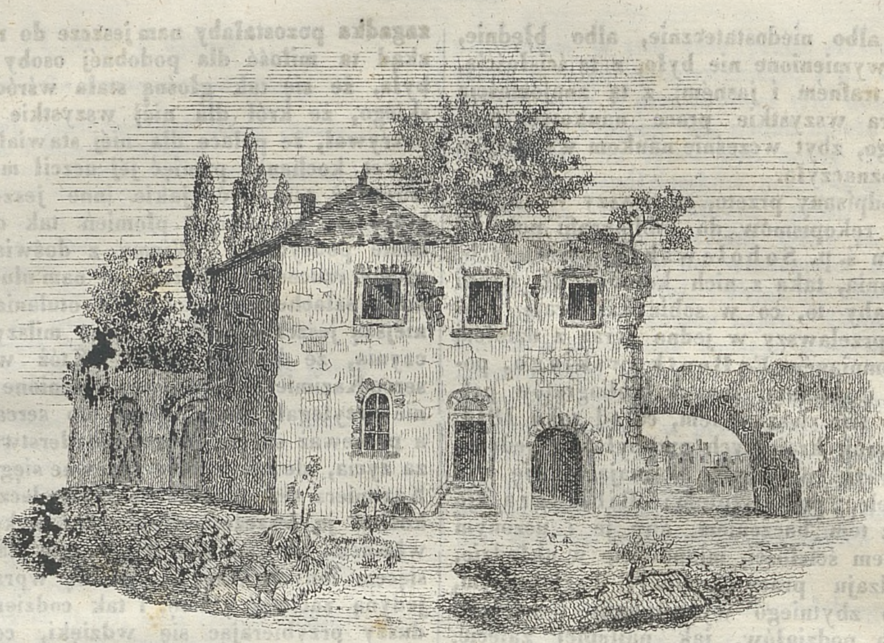
W Lesznie, księgarnia Ernesta Günthera.
W Warszawie, Zawadzkiego i Węckiego,
W Krakowie, A. Grabowskiego,
We Lwowie Jana Millikowskiego.

Dom Esterki.

Rysunek ten wyobraża dom w Opocznie, który dotychczas jest miany za pierwotne mieszkanie Esterki, Kazimierza Wielkiego ulubienicy. Nie słabość królewska, ale zniżenie się jéj tak dalekie, istotną jest dla nas zagadką. Przesyconaż wyobraźnia jego blaskiem dworskich piękności, oryentalnego tylko oblicza urokiem ożywić się mogła? takiegoż to pokarmu potrzebowała dusza, na inne ponęty już zwiędła? czy też traf szczególny odkrył mu miłość dziewicy, gdy jąmniéj jeszcze zaznał, i tak źródło w takiéj gęstwie ukryte i przypadkiem odsłonione, czyściéjszą i milszą nad wszystkie zdało mu się krynicą? Wszystkoby to być mogło: lecz zawsze druga zagadka pozostałaby nam jeszcze do rozwiązania: zkąd ta miłość dla podobnéj osoby tak trwałą była, że się tak głośną stała wśród ludu polskiego, że król dla niéj wszystkie inne węzły pozrywał, że pałace dla niéj stawiał, po zgonie nawet kochanki pamięć jéj uczcił mogiłą? Nie musiałyż tam być jakie inne jeszcze ponęty, które ten wzniecony płomień tak długo i tak silnie podsycały? Wiemy z doświadczenia, że gromy rzucane na przedmiot nam ulubiony, skłaniają szlachetność naszą do otulania go staranniéjszą jeszcze opieką, i tym milszym nam go czynią, że dla nas cierpi. Któż wie, czyli i serce Kazimierza, podobnem drażnione położeniem, nie przylegało coraz silniéj do serca kochanki? a ponieważ skryte dworu szyderstwa, nie tylko za życia, ale i po zgonie zapewne sięgały Esterkę, Kazimierz téż nietylko za życia, lecz i po zgonie kochał ją jeszcze. Któż wie nakoniec, czyli własnemi dręczona wyrzuty, nie starała się tysiącem innych cnót, tę wielką wprawdzie, lecz jedyną zacierać plamę, i tak codzień w wyższe duszy przybierając się wdzięki, coraz milszą, droższą być Kazimierzowi? Łatwo jest zabłąkać się w szerokiém polu domysłów: trudno przecież myśl tę odpychać, że i wykształcenie jéj, przewyższać musiało obecne u nas Izraelitek wychowanie. Nie byłże jéj ojciec jakim bogatym i zagranicznym kupcem, który przybywszy do nas i stawając na czele handlu, osiadł tu z córą przybraną w uroczny polor cywilizowańszych od nas krajów. Nie koniecznąż była przy tylu innych przymiotach i ta najpowabniéjszą z wszystkich ponęt, aby przelotne Kazimierza serce nigdy już niezerwanemi osidlić węzły?

Wiele złego nietylko w moralnym, ale i w politycznym względzie ściągnęła na nas ta miłość królewska. Ona to podobno znęciła tylu przybyszów hebrajskich, ona ich uzbroiła w te szkodliwe dla kraju przywileje, które może do pierwszych przyczyn upadku jego należą. Izraelici bowiem rozpostarłszy się w naszych miastach i cały zagarnąwszy handel, zniszczyli zupełnie i zagubili u nas ten stan pośredni, który aż dotąd prawdziwym był jądrem narodów: a jakby nie dość było tego ciosu w samo serce kraju zadanego, zasiedli jeszcze i w wioskach naszych, a rozpajając chłopków, do coraz widoczniéjszéj przywodzili ich nędzy. Chlubą wieczystą, chlubą będzie to postanowienie wielkopolskich obywatelów, którem (w zeszłym wieku podobno) jednozgodnie z karczem swoich wyrugowali żydostwo i ztąd też chłop téj dawnéj części Polski wszystkich i lepszym bytem i wykształceniem swojém przewyższał. Szkoda, że dotąd tego aktu nie wyszukano, o którym jedynie z rozmowy ojców naszych zasłyszałem.

Ale wróćmy do Esterki. Może, jak to już Bronikowski uczynił, nie jeden jeszcze pisarz romansów historycznych, wezwie Esterkę do obrazu, owczesne wystawiającego czasy. Nie źle



Dom Esterki.

byłoby, gdyby pisarz podobny bliższą powziął wiadomość, dla czego Żydówki Opoczna i Krakowa wyłączny zupełnie noszą ubiór na głowach i bardziéj twarze ich słoniący. Utrzymują one, iż ubiór ten zasięga czasów Kazimierza Wielkiego, i wynaleziony został przez matki dla zakrycia przed nim cór ich piękności. Trudno jest wyrzec, ile w tém prawdy być może.

Dziwną jest rzeczą, iż żaden dotąd malarz nie obrał Esterki za przedmiot swego pomysłu: przecież jéj piękność, rysy, barwa i wyraz odrębny twarzy, szata wreście, a nakoniec i jéj położenie, bogatéby sztuce przedstawiały pole. Odbijające od niéj dworskie lub historyczne osoby, nowego dodałyby życia. Widziałem ja niegdyś obraz w Warszawie, który miał być Esterką. Był on w pałacu Krasińskiego, na krakowskiém przedmieściu. Przemijam lichość pendzla; ale jakże można było na chwilę w tych grubych rysach otyłéj twarzy, widzieć uroczną Kazimierza kochankę? Jestto po prostu wymowna facyata tłustéj i czerwonéj Żydówicy, z nosem, godnym sążnistego rabina, a okiem szachrajki. Niełatwo jest zrozumieć, jak Gołębiowski, opisując Warszawę i wnętrza jéj pałaców, nie uczuł podobnego jak ja oburzenia.

Pozostaje nam jeszcze jedno odgadnienie: dla czego podanie z tak mglistéj wynikłe dalekości, przez tyle ciągnąc się wieków, aż do naszych czasów doszło tak czerstwe i świeże. Zdawałoby się, że ta pogarda tylowieczna, z którą lud nasz patrzył na ród Mojżesza, powinna była Esterkę obedrzeć z wszelkiego uroku poetycznego; a przecież inaczéj się stało: w romansie nawet ziomka naszego, tak chętném powitaliśmy ją okiem. Wytłómaczyć nam to może jedynie ów wiersz dotąd nieznany:

Nie, nie same laury krwawe
Będą w potomności słynąć;
Ma i miłość swoję sławę,
Która jéj nie da zaginąć.

Tum w Pradze.

Pierwotne dzieje téj wspaniałéj świątnicy, którą na obrazku widzimy, są zakryte ciemną zasłoną przeszłości, zwłaszcza, że wszystkie niemal piśmienne zabytki, któreby nam dzisiaj potrzebnych o niéj udzieliły wiadomości, po dwakroć się stały pastwą płomieni.

Pierwszy kamień węgielny tumu pragskiego założył ś. Wacław, trzeci xiążę chrześciański w Czechach; śmierć atoli zawczesna, przeszkodziła temu pobożnemu panu dokonać budowy, którą dopiero brat jego Bolesław ukończył. Napis złotemi literami po lewéj ręce wielkiego ołtarza, podaje nam rok zbudowania i poświęcenia kościoła tego 923. a)

Roku 971. wyniósł papież Jan XIII. wspomnioną świątynie, za staraniem Bolesława i siostry jego Milady, do zaszczytu kościoła katedralnego, pod warunkiem: „aby sprawowanie świętych obrządków po całych Czechach nie odbywało się więcéj, jak dotąd, w języku słowiańskim, ale w łacińskim.“ Pierwszym

a) Poświęcił go z wielkiemi uroczystościami biskup regensburski Wolfgang.



Widok tumu pragskiego ze strony południowéj.

biskupem pragskim był Dittmar, członek zakonu Benedyktynów z Magdeburga. Zewnętrznego kształtu kościoła tego dokładnie oznaczyć nie można; miał on być, jak się niektórzy domyślają, okrągławy i nie bardzo obszerny. Gdy po zawarciu pokoju z Polską, ciało ś. Wojciecha do Czech sprowadzone zostało, b) rozkazał xiążę Brzetysław I. przybudować do kościoła kaplicę, w któréj zamordowanego apostoła zwłoki pochował c) i grobowiec drogiemi klejnotami, w Polsce zdobytemi, przyozdobił.

Tu biorą swój początek pielgrzymki do grobu ś. Wojciecha. Ze wszystkich niemal krain gromadził się lud nabożny do Pragi, korząc się przy

b) Tak utrzymują kronikarze czescy, czemu jednak polscy zaprzeczają.

c) Paprockiego Calendarium rerum gestarum, fol. 445 d. 23 Sierpn. 1039 r.

grobowcu świętego, serce i myśli do Pana zastępów wznosił. Zbyt wielki natłok pielgrzymów powodował xięcia Spitigniewa II. do wzniesienia obszerniejszéj świątyni w roku 1057; ale ponieważ już w pierwszych dniach nast pnego roku umarł, zamysłu swego wykonać nie mógł, i rozpoczęta budowa dopiero pod bratem jego Wratisławem II. stanęła, razem z pięknym przysionkiem, na którym niebotyczna sterczała wieża: ale już r. 1132 przez piorun strącona i dopiero przez xięcia Sobiesława na nowo odbudowana.

Roku 1142 spłonął kościół ze wszystkiemi przyległemi budynkami, a z niemi piśmienne dokumenta, któreby nam nie jednę o nim rozjaśniły ciemność. Pobożność Władysława II. we dwa lata potém wystawiła na pozostałych zwaliskach nowy, nierównie od pierwszego wspanialszy przybytek. Zamiast jednéj wieży, wzniesiono dwie wysokie i trzy niskie. Wieść niesie, iż się w tym kościele znajdował starożytny kruszczowy świecznik, który miał stać kiedyś w świątyni Salomonowéj. W roku 1344 mianowano biskupstwo pragskie arcybiskupstwem, a kościół katedralny, kościołem metropolitalnym, co stwierdza napis na jednym filarze.

Pierwszym metropolitą był Ernest biskup, mający prawo, które późniéj i na następców jego przeszło, namaszczania i koronowania królów czeskich. Ten kościół doszedł pod Karolem IV. najwyższego szczytu świetności: uposażył go ten dobroczynny pan znacznemi dochodami, kapitałami i podarunkami; ustanowił 24 kanoników, 12 kapelanów, 6 dyakonów i tyluż subdyakonów. Wspomnienia tu jest godna korona, ważąca przeszło 8 funtów złota, która ozdobiona późniéj wielu drogiemi kamieniami, po dziś dzień przy koronacyi królów czeskich używaną bywa. Karól sprowadził także wszystkie ciała zmarłych xiążąt czeskich w mury téj świątnicy, a między innemi i szczątki Zygmunta z Agum w Szwajcaryi. Zaczęte przysionki, do których już w roku 1392 fundament założono, wykończonemi teraz być nie mogły, dla zaburzeń domowych. W owych nieszczęsnych i opłakanych czasach (wojna z Husytami), w których niczemu nieprzepuszczano, w owych okropnych mówię czasach, i tumu pragskiego nie szczędzono (1421). Zapalczywe pospólstwo wdarłszy się do świątyni, pustoszyło wszystko, a czego bezbożność ich nie zniszczyła, to pożarły ich ręką podniecone płomienie. Przez długi czas sterczały okopcone mury, właśnie jak gdyby wołały o pomstę za wyrządzone im krzywdy: gdzie przedtem brzmiały wdzięczne pienia pobożnego ludu, tam się teraz rozlegał huk sowi i przeraźliwe wrzaski drapieżnego ptastwa. A chociaż następni rządzcy, jakoto: Albrecht Austryacki, Władysław syn Kazimierza II. króla Polskiego, znacznie się przykładali do budowy kościoła w Pradze; chociaż kapłani, którzy byli uszli przed mściwą ręką zaślepionego mu, nazad do Pragi wrócili; kościół już więcéj nie wrócił do dawnéj świetności, zwłaszcza, że go znowu roku 1541 znacznie niespodziany wybuch ognia uszkodził.

Roku 1555 odbudował go zupełnie tak, jak nam go obrazek przedstawia, Ferdynand I. cesarz niemiecki, a w ślady jego wstępujący monarchowie austryaccy, mianowicie Ferdynand II. i III. syn jego Leopold I. niemało mu późniéj przydali blasku. Wznosi się wspaniale ze swemi wieżyczkami, kolumnami i kończastemi filarami ten gmach pyszny i okazały. Oparł się wiekom i był świadkiem tylu zdarzeń: nad nim przeszumiała niejedna zgubą grożąca burza; dziś kryje dumne swe czoło w obłokach, tryumfując nieako z pokonanych wrogów. Wszystko wzbudza uszanowanie i podziwienie; a lubo bystre oko znawcy, spostrzega i pewną odkrywa nieregularność w téj niewykończonéj budowie, to wszędzie piękne i śmiałe przebijające się pomysły architektów, zupełnie nas zaspokajają. W południowém skrzydle, na przeciwko zamku królewskiego stojącym, wpada w oczy piękny obraz sądu ostatecznego i niektórych opiekunów kraju czeskiego, z mozajki wysadzany, różnobarwnemi kamyczkami weneckiemi i kuleczkami szklannemi, pod Karolem IV. wykonany. d)

Uważny przechodzień wstrzymuje swój spieszny krok przed tym obrazem, wpatruje się weń, tonie w myślach, rzuca padoł płaczu, a przenosi się na lekkich skrzydłach do krajn niebian. Lecz niedługo wraca na ziemię, bo przecię jest śmiertelnikiem: czoło jego, po którém się niedawno przesunęły promyki wewnętrznéj spokojności, nagle się marszczy, a oko jaśniejące łagodnością, chmurzy się, spostrzegłszy, iż to tak piękne dzieło jakaś bezbożna ręka, jakaś ręka dzikiego Wandala zeszpeciła.

Na téj saméj stronie zwrócisz twą uwagę na statuę kamienną Jana Nepomucena, męczennika z roku 1463, i na statuę bronzową, wyobrażającą ś. Jerzego na koniu. Wchodząc do kościoła wznosi się po prawéj ręce piękna wieża 314 stóp wysokości mająca. Kopuła jéj, którą małe zdobią wieżyczki, jest pokryta miedzią, gałka zaś złotą obijana blachą, napuszczana pokostem; nad nią się pyszni, jak to obrazek pokazuje, król zwierząt.

Niepomijam tu wielkiego dzwona, w téjże wieży, który nosi nazwisko Zygmunta; waży on przeszło 227 centnarów i wyrównywa prawie co do ogromu, wielkiemu dzwonowi w Erfurcie.

R.

d) Podzielony jest na trzy pola:

U góry widzisz Boga Ojca, po prawéj ręce Boga Syna, po lewéj zaś Najświętszą Pannę, a na dole Karóla IV. z żoną jego Elżbietą, jeszcze niżéj smoka z siedmiu głowami, którego anioł mieczem zabija.

Wyjątki z korrespondencyi literackiéj.

»Wielce mi się podobał artykuł twój o muzyce. Mnóstwo nowych postrzeżeń, smętność polskiéj duszy, co raz lepiéj kształcący się język, uradowały mnie nie mało. Szczególnym trafem, spotkałeś się z myślą moją, którą kiedyś na papier chciałem wylać, to jest, że zewnętrzna natura wpływa na śpiew wieśniaczy; nie należało przecież tak zupełnie odrzucać wpływu politycznego. Jedno i drugie, a może trzecie jeszcze i czwarte, były przyczyny, wpływające na te śpiewy, których dotąd odkrycia czekamy. Ktoż wie, czy Krakowiak nie śpiewał weseléj od innych, bo w górach, jarach, i u stóp króla chłopków tak tam bliskiego, widział swój przytułek, zachronę choć czasową swojéj wolności przed wiejskim despotą. Ukrainiec przez całą niezmierzoność step rozciągając swój żal i smutek, echa nawet żadnego nie mógł się dowołać! ....

Co się tycze wyrazu dudy, sądzę jak następuje: Każda piszczałeczka u nas, dawniéj nazywała się dudką; i tak: meditaris avena, przełożył Nagurczewski na dudec, znajdziesz ten wyraz podobnie użyty w Zimorowiczu, i Gawińskim. Mniemam więc, że kobza istotnem tego instrumentu jest nazwiskiem, do którćj przecież gdy dodano późniéj ogromne piszczałki z trąbami, już ich chłop nie mógł nazywać dudkami lecz dudami. Mówi się aż dotąd dudki na piszczałce, a wreszcie i na Litwie masz dudarzy (patrz Mickiewicza) choć dud naszych nie znają.«

»Byłem na Purytanach. Muzyka Belliniego śliczna, cudowna. Dziwna rzecz przecie, że choć od 8 lat pierwszy raz byłem na operze, wróciłem z niéj z tym samym niesmakiem w duszy, jak dawniéj z dawnych. Szukałem w sobie źródła tego uczucia, czy moja indywidualność temu winna, czy też w ogólności każda opera? Długi namysł przywiódł mię do obwiniania dzieł tego rodzaju. Zuchwałością jest zapewne targać się na powagę prac tak genialnych; ale czemuż nie odważyć się na nią? kiedy silne uczucie pędzi, zmusza do niéj duszę, a przekonanie, zdaje się, jakby odblaskiem słońca. Ile dotąd sam siebie rozumiem, opery takie, jakiemi są dotąd, największem są barbarzyństwem w sztuce dramatycznéj. Sztuka dramatyczna dojdzie może kiedyś najwyższego kresu, gdy muzyka, poezya i taniec zleją się w jednę harmoninją całość, gdy dusza, dźwięk i wyraz jednym ożenią się węzłem............ Nie my jeszcze ujrzemy te trzy siostry w pokrewnéj, rodzinnéj, harmonii; wieków może jeszcze trzeba, aby je przywieść do tego doskonałości stopnia. Sądzę nawet, że tą drogą, którą teraz postępują, nigdy tam nie dojdą. Bliższemi są przecież tego punktu poezya i taniec; bo same w sobie bardziéj się wyrobiły, bardziéj są samoistne. Każda poezya dramatyczna zrozumiałą jest bez pomocy obcych sztuk. Ballet, jak n. p. Nina ou la folle par amour, choć niemy, przecież tak doskonale da się rozumieć, tak silne nawet wrażenie czyni, że łzy wyciska, ciągle zajmuje, i jakby głośnem przeraża zdarzeniem. Muzyka zaś operowa potrzebuje dotąd poezyi, i bez niéj obejść się nie może, choć ją za podrzędną tylko sobie uważa. Niech więc i ona idzie wprzód śladem siostr swoich; niech i ona sama się w sobie wyrobi, niech sama bez obcéj pomocy wystąpi w wielkiém dziele i tož samo czyni wrażenie. Niech dusza moja nie słysząc słów, zrozumie ją wszędzie, wszystko uczuje, wszystko widzi, wszystko odgadnie: wszakże łatwiéj być powinno duszy jak nogom dać się ciągle w wielkiém dziele rozumieć, i wszystkie uczucia, zdarzenia, szczegóły dramatu jasno na jaw wystawić. Z roskoszą duszy przypominam sobie, jak raz X. A. Radziwiłł w Poznaniu, bez śpiewu odegrywał przedemną Bajaderę Getego na wiolonceli, i jak prawie w każdym pociągu czytałem wiersz, w każdym dźwięku wyraz, który tonami malował. Przerywałem mu nieraz unisiony: a to ten wiersz, i tak radzi obaj temu byliśmy! Ale wróćmy do oper. Jeżeli sztuka dramatyczna być ma odbiciem natury, pytam, czyż może być co nienaturalniejszego, jak ten lud cały wszystko i wszędzie śpiewający? Któż naprzykład, jak w tylu operach, a nawet Purytanach, kryjac się przed bliskim, a śmiercią grożącym wrogiem, wynuca arye trwogi tak donośne! Jestże tu najmniejsze podobieństwo do prawdy? Nie bez przyczyny żaden znakomity Poeta nie wziął się do pisania oper. Łatwo zgadnąć, czemu? Nie śmieli oni wyjawić, co czuli; ja się odważam na to, niedbając czy się narażam na śmiech szyderczy, krzyki tronującego przesądu. Boleść moja głośniejszą jest od ich ryku.— O gdyby wielu szczerze rękę na sercu położyć chciało, przyznaliby, że nie całe dzieło, lecz sceny, arye, na nich jedyne czynią wrażenie! W Włoszech, gdzie każda dusza tak jest dźwięczną, jak harfa Eola, gadają, piją, wychodzą w ciągu recytatywów i innych części opery, na celniejsze tylko wracają arye, i temi się upijają. Nie całość więc jest to żadna, nie dramat, nie ciągle rosnącym interessem zajmujący duszę przedmiot, ale mozaika jedynie. Możęż więc to nazwać całością? dziełem? dziełem godnem sceny? I takaž to muzyka będzie twórczą deptała poezyą? Patrzmy tylko, co z Szekspirem, Wolterem, Walterskotem porobiono, przekształcając ich dzieła na opery? Całą prawdę, moc, duszę, bogactwo, piorunną spieszność zdarzeń zniszczono zupełnie, i to tylko wzięto, co w ramki opery zmieścić się dało; resztę obcięto, rozwleczono, na miazgę zdeptano. Krzyczano na klassyków, a wyznać horrendum! chwalono takie opery, nie oburzano się na podłą zniewagę dzieł nieśmiertelnych!

Czemuż religijna, militarna, narodowa, wieśniacza nawet muzyka, tak głęboko zasięgają mi w duszę? czemuż słów do nich niepotrzebuję, aby je w każdéj kropli krwi uczuć, tysiącznym z duszy odpowiedzieć echem, wznieść się, dumać, zapłakać, i nieraz to, co się w ranku życia słyszało, w wieczornéj jeszcze znaleść pamięci? a czemuż opera co wzbudzi, to zaraz i zepsuje, jak kapryśny smyczek Paganiniego? Całą wrzawę bitwy, całą harmonią budzącego się w ranku przyrodzenia, cały jęk i łoskot upadającéj Jerozolimy, cały ryk i szum wzburzonego morza, całą harmonią walącéj się nawały, całą tę muzykę natury, obejmuję i zamykam w duszy; całą též muzykę opery chciałbym wlać w siebie, a nie kawałki, cząstki rozstrzelone — nie poćwiertowanego na duetta Szekspira, lecz cały orkan jego namiętności i wszystkie pioruny jego pomysłów. Nieszczęsny! mógłże się kiedy téj krzywdy spodziewać, on, co w uniesieniu muzykalnéj duszy, powiedział, że spaćby niechciał w jednéj komnacie z człowiekiem, niekochającym muzyki, jako wszystkich zbrodni zdolnym!

Nie, kochany ..... opery, jak teraz jest, nie mogę mimo jéj zalet, nazywać dziełem; bo nie jest całością; nie ma tam jednéj głównéj myśli, któraby duszą całego dzieła była: jest to coś poklejonego niedorzecznością recytatywów, dobre na popis śpiewaczek pierwszych, ale nie więcéj. Jest to, przebacz trywialności porównania, lśniące podszycie pod szatą axamitu, którą szalony właściciel na wierzch podszewką nosi.

Niech, jak wyżéj rzekłem, łączą się, zlewają w jedną całość muzyka, poezya i taniec; ale tam niech każda występuje, gdzie koniecznie z natury rzeczy jest potrzebną, a nie dowolnie, a niepodgarniająca wszystko pod siebie, nie krzywdząca drugie.

Niech słyszę w Józefie w Egipcie śpiew poranny za namiotami ludu izraelskiego, niech go słyszę w chórach Atalii, niech rydwan tryumfu Trajana oskakuje radość ludu, i przed śnieżne rumaki, rzuca mu laury i kwiaty; niech słyszę w Eschylu hymn piekielny latających z wężami furyi, niech widzę ich taniec zarazem i t. p. wszystko to będzie w swojem miejscu; sztuka sztukę wesprze i wszystkie do mocniejszego przyłożą się effektu, zleje się całość, jak może tylko Grecy znali. W takim zaś stanie, w jakim teraz jest opera, jest to najpotworniejszy dziwoląg w literaturze, hańba rozsądku,

zakał sceny. I czemuż przy tak gwałtownéj reformie we wszystkich częściach literatury, nikt się nie ozwał dotąd przeciw temu? Trzebaż koniecznie czekać wieku, coby się dziwił głupstwu naszego? Jeżeli więc z tych bezładnie rzucanych myśli, powziąłeś choć iskrę przekonania; rzuć światu rękawicę, walcz, nie zrażaj się, dotrzymuj placu: nigdy zwycięztwo nie było pewniejszem, nigdy konieczniejszą walka. . . .

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wzmianka o prozodyi polskiéj.

(Dalszy ciąg.)

Pracować więc, zgłębiać ducha języka, zajrzeć w najskrytsze tajniki serca jego potrzeba, aby z nich wyczytać, z nich wydobyć prawidła dla niego, a obcemi nie gwałcić kajdany. Pod niemi będzie on tylko jęczał, i nigdy swéj rodzimej piękności światu nie okaże, a potworzonemi z siebie dziwolągami, karać tylko będzie tych, którzy nie wpatrzywszy się dokładnie w jego naturę, albo niezdolnym go ogłosili, albo obce chcieli narzucić mu jarzmo; uwieńczy zaś skronie tego, który nie szczędził pracy i znoju, aby wnijść do jego świątyni i z niéj wywieść prawidła swobodne, bo jemu tylko właściwe.

Że badacze języka ściśle trzymają się wzorów, jest rzeczą naturalną; ułatwiają sobie przez to swą pracę, bijąc na jedno i toż samo kopyto, chociażby to z największą przychodziło trudnością; mniemają oni bowiem, że nie są w stanie nic lepszego od poprzedników swoich utworzyć i to ich odstrasza od samodzielnego badania. Lecz niech tylko pomną, że i ci w samych pierwiastkach nie stworzyli nic doskonałego, że musieli nieraz z krętych manowców szukać lepszego toru. W tém zaszczytném dążeniu możemy ich naśladować, ale nie powinniśmy małpować, i tego, co nam się w ich podoba języku, gwałtem w nasz tłoczyć; bo wszystko, co jest duchem i w czém duch się objawia, nie cierpi jarzma; wszędzie musi on wolno oddychać i osobną drogą w kształceniu swojém postępować. Nie wstydźmy się błędów naszych, a zwłaszcza w tak trudnym zawodzie, pomnąc, że potomkom błędy nawet nasze do odkrycia prawdy posłużyć mogą. Szperajmy w własnym języku prawideł dla niego, a skoro w nim rytmiczność przykładami już jest stwierdzona, musi także w niéj być ukryta jeszcze i teorya. Że zaś przykłady dotąd znane zachowują akcent w pospolitéj mowie, trzymajmy się więc tego akcentu; nie budujmy prawideł języka naszego na muzyce i śpiewie, bo muzyka i śpiew nie stworzyły języka, ale owszem język był ich twórcą: mogą one nam w prawdzie posłużyć za niejakąś skazówkę w téj trudnéj pracy, ale nie za główny fundament; bo tym jest sam język, duch jego, duch i charakter całego narodu. Kto ten dokładnie zgłębić i pojąć potrafi, od tego się tylko rozwiązania tak trudnéj zagadki spodziewać możemy; zobaczymy wtenczas, czy ten głęboki przyszły filozof, z muzyki lub ze starożytnych języków przepisy naszéj prozodyi wywiedzie; lub czy je tylko iako środki uważać będzie?

Znamy dokładnie akcent języka naszego; wyssaliśmy go z piersi matek razem z mową: wnośmy więc ze skutku na przyczynę, a dowiemy się, zkąd się właśnie taki utworzył, a nie inny, czemu go właśnie na przedostatniéj kładziemy sylabie? Gruba przeszłości zasłona, trudne poznanie nas samych i trudne rozwinięcie szczegółowe charakteru całego narodu, jeszcze tę głęboką przed nami zakrywa tajemnicę; a kto się podejmie zdjąć z niéj zasłonę, niech się lęka losu młodzieńca w świątyni Izydy: musi on być nietylko grammatykiem, lecz historykiem, filozofem i poetą, a na takiego proroka długo jeszcze czekać będziemy. Nie rozpaczajmy jednak, zapukajmy tylko do naszéj obecnéj wyroczni, do pana **Mrozińskiego**; on ma klucz do téj świątyni; może, bez gwałtownego zdzierania zasłony, przejrzy przez nią, jak już wiele przejrzał i zbadał.

Nieznający języka naszego, słysząc o jednostajności akcentu, sądziliby, że nieznośna w nim panować musi monotonia: lecz doświadczenie nas uczy, że jest zupełnie harmonijnym, i od wszelkiéj w tym względzie kakofonii dalekim; bo w czem mu twórcza mistrza ręka rozmaitości ujęła, w tem mu przez wyrzutnie przyrostki i obfitość form sowicie wynagrodziła. Kładąc fundament téj silnéj budowy, lepiéj go i stałej założyć umiała, nim my go dzisiaj poznać zdołamy: głębszą ona bez filozofii była filozofką, niż wszystkie rozumy i systemata. Że przedostatnia sylaba główny ma akcent, nie wynika ztąd przecież, aby go inne sylaby wcale nie miały; mają one go zawsze, ale nie w tym stopniu. *)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Zasadowa ta myśl autora zdaje się być raczéj wyczerpnięta z ducha języka niemieckiego. Wymawianie polskie (przedłużanie przedostatniéj syllaby) każe innéj podobno szukać drogi. *Uwaga przytomnego korrekcie współpracownika P. L.*

Nakładem i drukiem Ernesta Gunthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)